

REJESTR DOTYCZY:

BOZNANSKA Olga

Nr rejestracyjny

12 42

K2851

s/c Adama Gustawa i Francuzki Eugenii

z d. Mondan

15 kwietn. 1865 w Krakowie

kraj: POLSKA

-+ 1942 w Paryżu

kraj: FRANCJA

pochowany:

nr grobu:

Nota zamieszczona:

w tomie II

czesci pierwsza

I n d e k s

PLASTYCY /art.mal./

Copyright: 1970

B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.

znak rozpoznawczy

U w a g i:

Nota:

Przypisy:

Źródła i bibliografia:

Enc. "spółczesna 1957 s.437

znak rozpoznawczy

BOZNAŃSKA OLGA /1865 w Krakowie -

Znakomita i ceniona portrecistka. Pierwsze studia odbywa w rodzinnym mieście. W r. 1867 przybyła do Monachium, gdzie studiowała pod kierunkiem Karola Kriecheldorfa, potem Wilhelma Rilde'a. Od r. 1898 zamieszkała w Paryżu na stałe. Obrazy z początku cechuje realizm, później efekty vibracyjne. Daje to, "co najsubtelniejsze i najistotniejsze. Melancholia głęboka piętnuje jej dzieła. "Sztukę jej nieprzystępną dla szarego tłumu, przez subtelne wyrafinowanie barwy i formy cechuje powaga duszy wrażliwej".

O. Boznańska — „Chwała malarstwa polskiego”

Tak ją nazywa napis na pamiątkowej tablicy, umieszczonej na ścianie Akademii de la Grande Chaumière w Paryżu, a inaugurowanej dn. 24 czerwca: Académie de la Grande Chaumière, Peinture, Sculpture, Fondée en 1904. Les Maîtres: Antoine Bourdelle, André Ménard, Lucien Simon, Xavier Prénét, Casteluca ont enseigné ici. (Akademia de la Grande Chaumière, malarstwo, rzeźba, ufundowana w 1904 r. Mistrzowie: Antoine Bourdelle, André Ménard, Lucien Simon, Xavier Prénét, Casteluca, uczyli tutaj).

A poniżej osobna tablica dodaje:

Ainsi que

OLGA BOZNAŃSKA

La Gloire de la Peinture Polonaise.

(A także OLGA BOZNAŃSKA. Chwała malarstwa polskiego). Nazwisko Boznańskiej figurowało poprzednio ostatnio w liście wyżej wymienionych profesorów.

W słoneczny jasny dzień letni zebrali się spora gromadka osób przed domem nr 16 ulicy de la Grande Chaumière. Udział w zorganizowaniu tej uroczystości na cześć dla uczczenia artystki polskiej wzięły: Towarzystwo Historyczne i Literackie, Stowarzyszenie Artystów Polskich we Francji, Stowarzyszenie Przyjaciół Sztuki Polskiej we Francji, oraz dyrektora Akademii de la Grande Chaumière. Duszą całej akcji był dawny uczeń Olgi Bogdańskiej, wybitny artysta-malarz polski i paryski, p. Michał Kalitowicz, znany w tutejszych kołach francuskich pod skróconym nazwiskiem: Kali. Dzięki niemu i uczynności Biblioteki Polskiej, zawsze gotowej do poparcia każdej inicjatywy na gruncie paryskim, czy w ogóle wygnać, udało się również urządzić małą wystawę obrazów Olgi Boznańskiej.

Sama uroczystość trwa stosunkowo krótko. Przemowy są niedługie. Najpierw mówi p. Raymond Escholier, znany pisarz francuski, obecnie radca kulturalny miasta Paryża, potem p. Kalitowicz, który w serdecznych i zarazem pełnych czci wyrazach wspomina Boznańską i kreśli krótki jej życiorys, podkreślając jej francuskie i polskie pochodzenie. Niedługo, gdy przechodził wraz z wielką artystką przed Akademią de la Grande Chaumière i tablicą z imionami profesorów, wśród których widniało na końcu i nazwisko Boznańskiej, zatrzymała się na chwilę, patrząc na tablicę i powiedziała: „Jedyny ślad, jaki po mnie w Paryżu pozostanie”.

Słynna malarka polska, której dzieła znajdują się w wielkich muzeach Europy i Ameryki, pracowała w tej Akademii w latach przedwojennych przed 1914 r., kierując pracami licznych jej uczniów i poprawiając je. Obecna tablica zastąpiła dawną, zniszczoną podczas okupacji niemieckiej w Paryżu. Nie mogła być umieszczona w lepszym miejscu, jak na murze tej Akademii i w tej dzielnicy Montparnasse, z którymi wiąże się na zawsze wspomnienie polskiej artystki.

Krakowie i w Monachium. Do Paryża przyjeżdża w r. 1898. Mieszka na ulicy Campagne-Première 16, na początku dzielnicy Montparnasse, potem przenosi się na bulwar Montparnasse nr. 49, gdzie już pozostanie aż do śmierci.

Zmarła w Paryżu pod okupacją niemiecką, dnia 26 października 1940 roku w szpitalu Sióstr Miłosierdzia na bulwarze Saint-Marcel, a grób jej znajduje się na słynnym polskim emigracyjnym cmentarzu w Montmorency.

Olga Boznańska (właściwe imiona: Helena, Olga, Aleksandra) należy bez wątpienia do najwybitniejszych talentów malarzkich kobiecych. Dzieła jej widzieć można w paryskim muzeum „Jeu de Paume”, w Londynie, w Rzymie, w Brukseli, w Antwerpii etc., a poza tym w Metropolitan Museum w Nowym Jorku, w Chicago, w Bostonie. Jako portrecistka, pozostawiła wiele portretów sławnych ludzi swej epoki, między innymi Marii Curie-Skłodowskiej i belgijskiego poety Emila Verhaerena. Jej piękne kwiaty i „martwe natury” noszą cechę okresu post-impresjonistycznego w malarstwie.

Sztuka Boznańskiej jest przedziwnie uduchowiona. W portretach całe życie skupia się zazwyczaj w oczach i uderza w nich mniej podobieństwo czy kształty i kolory, jak wyraz. Pewien krytyk francuski powiedział raz o niej, że malowała raczej dusze ludzi, niż ludzi. Było w tym dużo prawdy. Nawet kwiaty Boznańskiej zdają się nieraz mieć dusze. Coś zaświatowego, nieuchwytnego błąka się w jej malarstwie.

Kiedy poznałam Olę Boznańską po pierwszej wojnie światowej, była to już kobieta w starszym wieku. Srebrzyły się tu i ówdzie włosy, twarz blada, trochę zwiędła, ale podobnie jak w jej portretach życie i wyraz skupiały się w jej wielkich, głębokich oczach, czasem pełnych ognia i życia, czasem zapatrzonych gdzieś daleko, w coś niewidzialnego dla innych. Przy tych oczach nika i szczupła postać w czerni, i twarz, jakiś ogromny cienisty — bo inaczej go nazwać trudno — kapelusz, pozostawały tylko one, z ich dziwnym, urzekającym wyrazem.

Znajomość z wielką artystką zawdzięczałam jej przyjacielowi, który był i moim. Baron Ludwik Puszet pochodził ze znanej rodziny francuskiej du Puget, która dała Francji sławnych artystów, zresztą spolszczonej i spokrewnionej z polskimi rodzinami arystokratycznymi. Ceniony rzeźbiarz i wykwintny esteta, coś w rodzaju polskiego Petroniusza chrześcijańskiego, należał do kół artystycznych i literackich krakowskich. Z Boznańską łączyła go dawna przyjaźń i wielkie uznanie dla jej talentu. Posiadam do dziś dnia jedną z jego rzeźb, którą nazywał „Santa Pinocchina”, a będąc portretem uroczej małżonki poety i dramaturga Ludwika Hieronima Morstina. Ofiarował mi ją później, jako świadek mego kościelnego ślubu. Dzięki niemu

...spora gronauka osób przed domem nr 16 ulicy de la Grande Chaumière. Udział w zorganizowaniu tej uroczystości na cześć dla uczczenia artystki polskiej wzięły: Towarzystwo Historyczne i Literackie, Stowarzyszenie Artystów Polskich we Francji, Stowarzyszenie Przyjaciół Sztuki Polskiej we Francji, oraz dyrektora Akademii de la Grande Chaumière. Duszą całej akcji był dawny uczeń Olgi Bogdańskiej, wybitny artysta-malarz polski i paryski, p. Michał Kalitowicz, znany w tutejszych kołach francuskich pod skróconym nazwiskiem: Kali. Dzięki niemu i uczynności Biblioteki Polskiej, zawsze gotowej do poparcia każdej inicjatywy na gruncie paryskim, czy w ogóle wygnańskim, udało się również urządzić małą wystawę obrazów Olgi Boznańskiej.

Sama uroczystość trwa stosunkowo krótko. Przemowy są niedługie. Najpierw mówi p. Raymond Escholier, znany pisarz francuski, obecnie radca kulturalny miasta Paryża, potem p. Kalitowicz, który w serdecznych i zarazem pełnych czci wyrazach wspomina Boznańską i kreśli krótki jej życiorys, podkreślając jej francuskie i polskie pochodzenie. Niedługo, gdy przechodził wraz z wielką artystką przed Akademią de la Grande Chaumière i tablicą z imionami profesorów, wśród których widniało na końcu i nazwisko Boznańskiej, zatrzymała się na chwilę, patrząc na tablicę i powiedziała: „Jedyny ślad, jaki po mnie w Paryżu pozostanie“.

Słynna malarka polska, której dzieła znajdują się w wielkich muzeach Europy i Ameryki, pracowała w tej Akademii w latach przedwojennych przed 1914 r., kierując pracami licznych jej uczniów i poprawiając je. Obecna tablica zastąpiła dawną, zniszczoną podczas okupacji niemieckiej w Paryżu. Nie mogła być umieszczona w lepszym miejscu, jak na murze tej Akademii i w tej dzielnicy Montparnasse, z którymi wiąże się na zawsze wspomnienie polskiej artystki.

★

Olga Boznańska była córką Adama Gustawa Boznańskiego i nauczycielki Francuzki, Eugenii Mondan. Podobnie, jak Szopen, miała w sobie i polską i francuską krew. (Ładnie podkreślił to również w swym przemówieniu p. Kali). Urodzona w Krakowie 15. IX. 1865 r., od najmłodszych lat okazywała niezwykle zdolności malarskie. Kształciła się w

Emila Verhaeren'a. Jej piękne kwiaty i „martwe natury“ noszą cechę okresu post-impresjonistycznego w malarstwie.

Sztuka Boznańskiej jest przedziwnie uduchowiona. W portretach całe życie skupia się zazwyczaj w oczach i uderza w nich mniej podobieństwo czy kształty i kolory, jak wyraz. Pewien krytyk francuski powiedział raz o niej, że malowała raczej dusze ludzi, niż ludzi. Było w tym dużo prawdy. Nawet kwiaty Boznańskiej zdają się nieraz mieć dusze. Coś zaświatowego, nieuchwytnego błąka się w jej malarstwie.

Kiedy poznałam Olę Boznańską po pierwszej wojnie światowej, była to już kobieta w starszym wieku. Srebrzyły się tu i ówdzie włosy, twarz blada, trochę zwiedła, ale podobnie jak w jej portretach życie i wyraz skupiały się w jej wielkich, głębokich oczach, czasem pełnych ognia i życia, czasem zapatrzonych gdzieś daleko, w coś niewidzialnego dla innych. Przewidywalność i szczupła postać w czerni, i twarz, jakiś ogromny cienisty — bo inaczej go nazwać trudno — kapelusz, pozostawały tylko one, z ich dziwnym, urzekającym wyrazem.

Znajomość z wielką artystką zawdzięczałam jej przyjacielowi, który był i moim. Baron Ludwik Puszet pochodził ze znanej rodziny francuskiej du Puget, która dała Francji sławnych artystów, zresztą spolszczonej i spokrewnionej z polskimi rodzinami arystokratycznymi. Ceniony rzeźbiarz i wykwintny esteta, coś w rodzaju polskiego Petroniusza chrześcijańskiego, należał do kół artystycznych i literackich krakowskich. Z Boznańską łączyła go dawna przyjaźń i wielkie uznanie dla jej talentu. Posiadałam do dziś dnia jedną z jego rzeźb, którą nazywał „Santa Pinocchina“, a będąc portretem uroczej małżonki poety i dramaturga Ludwika Hieronima Morstina. Ofiarował mi ją później, jako świadek mego kościelnego ślubu. Dzięki niemu, „mysikrólik“, jak mnie przeważało z powodu moich drobnych rozmiarów, zaczął przebywać w pracowni Boznańskiej. Poznałam wtedy i panią Izę, siostrę Olgi Boznańskiej, czarnowłosą, żywą i pulchną, o typie bardzo francuskim. Obie te panie miały wówczas jakiegoś bardzo ładnego i rozpieszczanego pieska-faworyta Bubbi, czy Bobbi. Prócz tego były w atelier i słynne myszy artystki, którym dawała jeść i które spokojnie spacerowały sobie po pracowni.

Gdy przyjechałam po raz pierwszy, artystka kończyła właśnie portret mojej znajomej, doktora medycyny pani Mieczysławy Brunowej, żony znanego dziennikarza i publicysty, Leopolda Bruna. Boznańska była bardzo gościnna i bywało u niej dużo osób. Ale na tle tych sylwetek, z których wiele się zatarło w pamięci, pozostała mi żywa, wiotka postać w czerni, jakby trochę widmowa, o wielkich „urocznych“ oczach, jako trwała wizja Olgi Boznańskiej, taka, jaką się odmalowała sama w swoim auto-portrecie.

ARSTWA, ŻYWNOSĆ

przystniej, najlepiej

sz przez

O R E S

EWKA

ace, London, S. W. 7.

NI 0747

OLGA BOZNAŃSKA W ŻYCIU

Był rok 1935, Paryż rozkwitał wiosną. Bulwar Montparnasse roił się wielojęzycznym tłumem, kiedy samochód zatrzymał się przed ciemną, szarą kamienicą, oznaczoną numerem 49. Mroczne wejście po blaskiem słonecznym zalanych ulicach wydawało się przepaścistą otchłanią.

— Madame Boznańska? — gruba konsjerżka wruszyła wyraziście ramionami. — Nie wiem, czy zechce panie przyjąć. Ona woli teraz pisk swoich białych myszy, niż rozmowy z ludźmi.

I my również nie byliśmy pewne przyjęcia. O sławnej malarce od dawna już krążyły po Paryżu najbardziej fantastyczne legendy. Opowiadano sobie, że dość znaczne sumy uzyskane ze sprzedaży obrazów oraz dochody z kamienicy w Krakowie, jaką odziedziczyły wraz z siostrą po śmierci ojca, rozdawała latwoiernie różnym naciągaczom, a sama żyła w zupełnej nędzy. Podobno nawet wśród braci artystycznej Montparnassu istniał rodzaj giełdy, gdzie świeżo przybyli z kraju hołysze mogli dostać jej adres za większą lub mniejszą sumę. Ale właśnie ta jej legendarna dobroczynność dawała nam nadzieję, że Boznańska ofiaruje nam choćby najmniejszą ze swych kwiatowych akwarel, które w ostatnich latach zaczęła malować.

Dziwna, prawie niesamowita atmosfera panowała w tej olbrzymiej, zastawionej obrazami pracowni. Zapach farb zmieszany z zapachem kurzu i stęchłizny odbierał niemal oddech, a kryjące się po kątach białe stworzonka — zapewne te jej ulubione myszy — przerażały i dziwiły zarazem. Na nasze wejście wyszła z poza sztalug jakąś drobna, zasuszonego postać, której strój i uczesanie przypominały wyblakłe fotografie z 1900 roku. Od tej zwidłej twarzy odbijały kontrastowo bystre, mądre oczy, które wpatrywały się w nas pytająco i uważnie.

Zaledwie jednak zdążyłam wypowiedzieć naszą prośbę, wpadł jak bomba jakiś długowłosy młodzieniec i spojrzawszy na nas nieufnym wzrokiem zaczął coś szeptać na ucho malarce. Pani Boznańska, wciąż zapatrzona przed siebie, wskazała ręką stojący w rogu pracowni fortepian, gdzie na talerzu leżała garść papierowych pieniędzy. Rozwiczrzoną młodzieniec porwał stamtąd jakąś sumę i wyleciał równie milcząco, jak przyszedł. Artystka zaś odwróciła się do nas plecami i przestała się nami interesować.

Huk armat i wybuchy bomb zagłuszyły wkrótce pamięć mego pierwszego i ostatniego spotkania z Olgą Boznańską. I dopiero coraz liczniejsze monografie oraz cały szereg książek na temat twórczości tej wielkiej portrecistki — najnowsza, napisana przez Helenę Blum, ozdobiona licznymi reprodukcjami jej obrazów i fotografiami ukazała się w roku ubiegłym — obudziły we mnie pragnienie zapoznania się z prywatną i uczuciową stroną jej życia.

Olgę Boznańską urodziła się w Krakowie 1865 r. Zarówno ona jak i jej młodsza siostra Iza otrzymały bardzo staranne wykształcenie, dzięki troskliwej opiece kochającego i wyjątkowo postępowego ojca, Adam Nowina Boznański, jako inżynier i właściciel wcale ładnej kamienicy przy ulicy Wolskiej, miał dość znaczne dochody, co pozwoliło mu pomagać córkom w ich artystycznych dążeniach. Wcześniej obawiające się zdolności malarskie Olgi skłoniły pana Boznańskiego do oddania córki do szkoły malarzkiej, gdzie jednym z profesorów był Pochwański, który w kilka lat później miał zdobyć sławę w Wiedniu. Zresztą, nawiasem mówiąc, talent myzyczny Izy rokował również duże nadzieje, jednak niepowodzenie jej pierwszego koncertu fortepianowego zniechęciło ją zupełnie do muzyki i było powodem ciężkiej choroby nerwowej. Tę nadwrażliwość, jak zresztą i skłonności artystyczne, odziedziczyły obie córki po matce Francuzce, która umarła dość wcześnie, nie doczekawszy ani sławy Olgi, ani też zupełnego załamania się Izy.

Do Monachium, dokąd Olgę wysłał rodzice na dalsze studia, przyjechała ona już z ustalonym poglądem na kierunek swojej twórczości, który daleko odbiegał od szkoły matejkowskiej. Wiedziała czego żądać od swych profesorów, jak również co brać od starych mistrzów i jak patrzeć na malarstwo współczesne. Wprawdzie legendy na temat dziwactw Boznańskiej zaczęły z biegiem lat obejmować nawet okres monachijski, jednak listy i wspomnienia tych, którzy ją pamiętają z owych czasów, mówią o młodej pannie, która bawiła się i flirtowała jak wszystkie inne w jej wieku. O jej bywaniu na balach, i to nawet kostiumowych, świadczą dwie bardzo wdzięczne fotografie opublikowane we wspomnianej wyżej monografii.

Podobno jednym z jej adoratorów był Paweł Nauen, który należał też do jej profesorów.

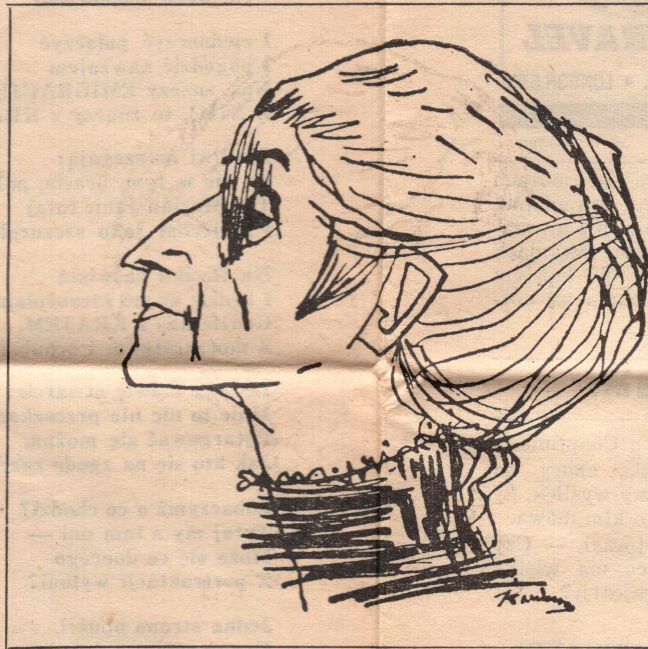
W 100-lecie urodzin sławnej malarki

Hilda Jankowska

Bardzo wyrazisty portret Olgi Boznańskiej, wykonany przez niego, upamiętnił ten flirt dla potomności. Choć Olga była bardzo chętnie przyjmowana w towarzystwie zarówno polskich, jak i francuskich malarzy, gdzie wszyscy mówili z wielkim uznaniem o jej dystynkcji i manierach wielkiej damy, jednak już

studiach do Krakowa, gdzie miała większe widoki zarobkowe, zapropomował Boznańskiej małżeństwo — ona odmówiła kategorycznie tłumacząc ukochanemu, że atmosfera Krakowa dusi ją i wywołuje ujemnie na twórczość.

Na usprawiedliwienie Boznańskiej należy dodać, że w Paryżu dokąd przeniosła się w 1898 roku



OLGA BOZNAŃSKA U SCHYŁKU ŻYCIA

wówczas musiała mieć te swoje sławne wybuchy temperamentu, które z czasem nabierały coraz więcej gwałtowności, bo ogólnie nazywano ją „das kleine Böschen“ (mała złoźnica). W każdym razie daleko jej było do historycznego podniecenia młodszej siostry, które mimo leczenia doprowadziło ją do alkoholizmu i narkomanii, a w końcu do samobójstwa.

Wkrótce po jej przybyciu do Monachium u boku Olgi pojawił się młody malarz Józef Czajkowski, który od tej pory będzie jej stałym towarzyszem. To już nie przelotny flirt czy też koleżeńska przyjaźń, ale jedyna wielka miłość, która zaważy na całym jej życiu. Prawdę mówiąc, nie musiało to uczucie być aż tak wszechpotężne, jak to później sama dawała do zrozumienia, jeśli nie mogło skłonić artystki do poświęcenia związanych z Paryżem możliwości. Bo kiedy Czajkowski wróciwszy po malarskich

miała wielkie powodzenie n licznych wystawach i sama czuła się doskonale. W każdym razie wymiana korespondencji Czajkowskim trwała dość długo, aż w końcu ten stracił cierpliwość i zerwał krótkim i brutalnym listem. I to był przełomowy moment w życiu osobistym Boznańskiej. Wprawdzie złośliwi twierdzili, że owe tak ostentacyjnie podkreślane objawy rozpaczy, były pierwszymi oznakami wzmagającego się z latami dziwactwa, a może wprost wynikały z potrzeby tworzenia dokoła siebie romantycznej atmosfery, w każdym razie nie tylko że portret Czajkowskiego przez nią malowany stał zawsze na widocznym miejscu w jej pracowni, ale ten strój jej zatrzymał się w bolesnym dla niej roku 1900 i nigdy już nie poszedł z postępem mody. Zresztą jakiegokolwiek było powodzie tego uzewnętrzniania własnej tragedii miłosnej, nie wpły

BOŻNAŃSKA W ŻYCIU CODZIENNYM

W 100-lecie urodzin sławnej malarki

Hilda Jankowska

Bardzo wyrazisty portret Olgi Bożnańskiej, wykonany przez niego, upamiętnił ten flirt dla potomności. Choć Olga była bardzo chętnie przyjmowana w towarzystwie zarówno polskich, jak i francuskich malarzy, gdzie wszyscy mówili z wielkim uznaniem o jej dystynkcji i manierach wielkiej damy, jednak już

studiach do Krakowa, gdzie miał większe widoki zarobkowe, zaproponował Bożnańskiej małżeństwo — ona odmówiła kategorycznie, tłumacząc ukochanemu, że atmosfera Krakowa dusi ją i wpływa ujemnie na twórczość.

Na usprawiedliwienie Bożnańskiej należy dodać, że w Paryżu, dokąd przeniosła się w 1898 roku,

nęła ona ujemnie na twórczość Bożnańskiej. O sławie jej i powodzeniu na tym polu, świadczą liczne złote i srebrne medale uzyskane na wystawach europejskich oraz amerykańskich, jak również nadanie jej Legii Honorowej przez rząd francuski.

Znalezienie własnego stylu było ambicją Bożnańskiej od początku jej kariery malarskiej. Już w okresie monachijskim zaczął się on wyrażać harmonizowaniem barw ograniczonych do kilku podstawowych kolorów. Przewagą tonów szarych i szaro-srebrzystych tworzy jakby dymną zasłonę dla tych obrazów. „Są ciche i żywe” — pisała artystka do swej przyjaciółki — „jakby je lekka zasłona dzieliła od patrzących. Są w swojej własnej atmosferze”.

Po zerwaniu z Czajkowskim, pojawili się w życiu Bożnańskiej jeszcze dwaj mężczyźni, z których jeden przynajmniej miał zupełnie zdecydowane zamiary matrymonialne. Był to młody i wielce obiecujący architekt, Karol Mączyński. Ojciec Olgi, który do końca życia pozostał jej najlepszym doradcą i powiernikiem, pragnął bardzo tego małżeństwa. Ale Bożnańska żyła już wówczas tylko dla swej sztuki, a młody architekt musiał zadowolić się jej przyjaźnią.

Listy z 1902 roku mówią nam o drugiej również bardzo zażyłej przyjaźni z ziemianinem z Litwy Bohdanem Faleńskim, który przez czas jakiś uczył się w Paryżu malarstwa. Z jego listów, zarzucających Oldze jej liczne flirty, możnaby wnioskować, że mimo staromodnego stroju prowadziła ona jeszcze wtedy życie zupełnie normalne. Przez cały dzień pracowała intensywnie — wszystkie swoje obrazy malowała zawsze bardzo długo i starannie — wieczorem zaś zbierali się u niej niemal każdego dnia znajomi i przyjaciele. Najchętniej widziała w swej pracowni przyjezdnych z kraju, którzy od śmierci ojca w 1906 roku byli jej jedynym łącznikiem z miastem rodzinnym.

— Tylko nie mówcie mi o Wyspiańskim — protestowała zaraz na wstępie p. Olga. — Nie znoszę tego człowieka!

Trudno zrozumieć tę nienawiść do genialnego pisarza u kobiety tak na ogół życzliwej i wyrozumiałej dla bliźnich.

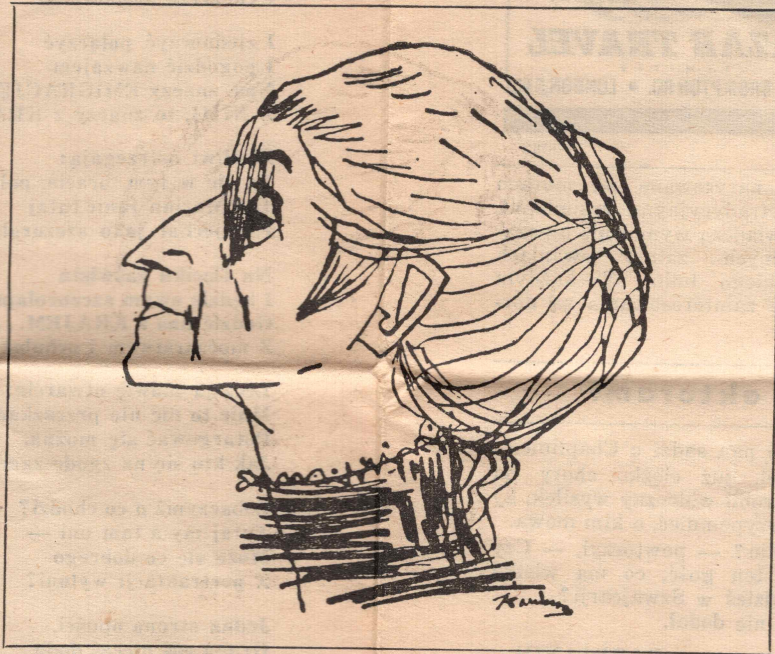
Kiedy wybuchła wojna 1914 roku Bożnańska stała u szczytu sławy. I nagle wszystko się załamało. Bogate Amerykanki przestały przyjeżdżać do Paryża i zamawiać u niej portrety, nie było

wystaw, nie było wykładów, szkoła malarskiej, gdzie stała posadą i... nie było dochodów z kamienicy przy Wolskiej. Pani Olga znalazła się niemal w nędzy. Ta tragiczna sytuacja finansowa z szybko zażegnana dzięki pomocy Wincentego Lutosławskiego. Zanona Przesmyckiego, która pobyt w Szwajcarii ułatwiała. Ale zły stan finansów wielkiej malarki miał już trwać do końca jej życia. Powodem ciągłego braku pieniędzy, jej niezwykła dobroczynność i łatwości w stosunku do każdego, kto tylko prosił ją o pomoc. Rzecz dziwna, że mimo narkomanii i alkoholizmu miała więcej zmysłu praktycznego niż jej sławna siostra, gdy swoich skromnych dochodów jakie obu siostrom dostarczała kamienica w Krakowie, była w stanie odkładać 100 franków miesięcznie. Z tych oszczędności kupowała później obrazy Olgi przy podstawionych nabywców, aby domoczyć finansowo.

Dziwny był stosunek obu siostr, z których każda mieszkała osobno, zamknięta w swej samotności. Kochały się bardzo, ale mogły żyć razem, a co gorzej, obmawiały się wzajemnie w wszystkich listach i rozmowach przyjaciółmi.

Samobójcza śmierć Izy w 1910 roku i widok jej poranionej nie poznania twarzy był ostatecznym ciosem dla równowagi umysłowej chorej i osamotnionej artystki. Nie wychodziła już prawie z domu ze swej pracowni i zapatrzyła przed siebie mrużąc jak nie rozumiała słowa. A jednak tym zdziwaczałym mózgu płomienia sztuki świecił wciąż niezgaśnięnym światłem. Ilekroć brała rękę paletę w oczach jej zapalała się jak dawniej błysk, a z pod pędzla wychodziły arcydzieła. Były to jednak tylko krótkie przebliski, gdyż życie wielkiej malarki zbliżało się do końca. Mimo pomocy rządu polskiego, który zakupywał jej obrazy Muzeum Narodowego, mimo opieki specjalnego komitetu, p. niądze jakie otrzymywała rozlewały się w dalszym ciągu, wydane przez ludzi wyzyskujących jej łatwości.

Olga Bożnańska umarła 14 października 1940 roku. Podobnie pewnego dnia wyszła z domu i już nie wróciła. Prawda to czy legenda? Trudno dziś dociec. Ale czy był los jednej, choćby genialnej malarki wówczas, kiedy miliony istnień ludzkich ginęły męczenną śmiercią?



OLGA BOŻNAŃSKA U SCHYŁKU ŻYCIA

wówczas musiała mieć te swoje sławne wybuchy temperamentu, które z czasem nabierały coraz więcej gwałtowności, bo ogólnie nazywano ją „das kleine Böschen” (mała złoźnica). W każdym razie daleko jej było do histerycznego podniecenia młodszej siostry, które mimo leczenia doprowadziło ją do alkoholizmu i narkomanii, a w końcu do samobójstwa.

Wkrótce po jej przybyciu do Monachium u boku Olgi pojawił się młody malarz Józef Czajkowski, który od tej pory będzie jej stałym towarzyszem. To już nie przelotny flirt czy też koleżeńską przyjaźń, ale jedyna wielka miłość, która zaważyła na całym jej życiu. Prawdę mówiąc, nie musiało to uczucie być aż tak wszechpotężne, jak to później sama dawała do zrozumienia, jeśli nie mogło skłonić artystki do poświęceń związanych z Paryżem możliwości. Bo kiedy Czajkowski wróciłszy po malarskich

miała wielkie powodzenie na licznych wystawach i sama czuła się doskonale. W każdym razie wymiana korespondencji z Czajkowskim trwała dość długo, aż w końcu ten stracił cierpliwość i zerwał krótkim i brutalnym listem. I to był przełomowy moment w życiu osobistym Bożnańskiej. Wprawdzie złośliwi twierdzili, że owe tak ostentacyjnie podkreślane objawy rozpaczy, były pierwszymi oznakami wzmagającego się z latami dziwactwa, a może wprost wynikały z potrzeby tworzenia dokoła siebie romantycznej atmosfery, w każdym razie nie tylko że portret Czajkowskiego przez nią malowany stał zawsze na widocznym miejscu w jej pracowni, ale też strój jej zatrzymał się w bolesnym dla niej roku 1900 i nigdy już nie poszedł z postępem mody. Zresztą jakiegokolwiek było podłoże tego uzewnętrzniania własnej tragedii miłosnej, nie wpły-